Nr. 21. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 20 Maja 1871.

Redakcja przy placu Wilhelmowskim Nr. 5. Ajencje: Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt. Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Filozofja natury

przez

Henryka Levittoux,

krytycznie przedstawiona

przez

Karola Libelta.

(Dalszy ciąg).

Autor zbija następnie różnice, jakie uczeni stawiać zwykli między tworami trzech królestw natury. Gdzie nie ma ścisłych granic, a powtarzają się formy przejściowe z jednego królestwa w drugie, tam naturalnie i różnice nie mogą być tak oznaczone, aby na wyjątki nie trafiały. Ale dla tego, że natura nasionom niektórym skrzydełka nadała, i wiatrami je na różne strony roznosi, ani dla tego że roślina z taką łatwością przez odcinki (ablegry) się rozmnaża, nie wypada, żeby lokomocją przypisać można tak roślinom jak zwierzętom, a nie wziąć jéj za stanowczą różnicę między jednem a drugiem królestwem.

Ciało organiczne jest kombinacją, któréj człowiek utworzyć nie potrafi, a środkiem retorty dochodzi do otrzymania ciała martwego, czy pojedyńczego czy złożonego. Nie nadweręża téj różnicy ciał organicznych i nieorganicznych, ta okoliczność, że gospodarze angielscy i ogrodnicy holenderscy przez stosowne hodowanie nadają zwierzętom i roślinom z góry oznaczone odmiany i rassy. Bo chemik w retorcie osobnego zupełnie dopatrzy się ciała, kiedy anglik z wołu dochować się może albo gnaciastego do pociągu, albo mięsnego do wypasu bydlęcia, ale zawsze wół zostanie wołem, tak jak odmiany róż lub lewkonji harlemskich, pozostają gatunkiem róży lub lewkonji.

Mimo to zgadzamy się z autorem na rezultat jego poszukiwań i że w istotach organicznych, wszystko jest układem i przemianą jednego zasadniczego elementu: komórki organicznéj, która znowu jest układem i przemianą, jednego zasadniczego elementu całego świata tj. atomu a raczéj pierwszéj pary atomów; że cała kreacja jest nieprzerwanem pasmem jedności, jest żyjącą jednością i całością (str. 219 i 221).

P. Levittoux popiera się w końcu zdaniem profesora fizjologii ogólnéj Klaudjusza Bernarda, który w raporcie swoim o stanie obecnym téj umiejętności powiada: że intelligencja, któréj fenomena cechują najwyższy szczyt życia, istnieje po za obrębem istot nią obdarzonych, że istnieje w ogólnéj harmonii i w ogólnych prawach wszechświata. — Tożsamość wszystkich sił w naturze, będących jako takie, najwyższą intelligencją wypada bezpośrednio ze zwyż przytoczonego zdania pana Bernarda. Ale to zdanie, które w takie zdumienie (str. 223) wprawiło naszego autora, wypowiedziane tylko jest jako przypuszczenie, a rzeczywiście, acz prawdę ale nie nową wypowiada. Cała filozofia idealna niemiecka, a w szczególności każda filozofia natury, jest potwierdzeniem tego zdania. Atoli pominąwszy filozofie, samo bliższe zastanowienie się nad rzeczą téj saméj prawdy nas naucza. Fizjologia ogólna którą uczony Bernard wykłada w kollegium francuzkiem, istniała, zanim on się urodził, istnieć

będzie i po jego śmierci. Podobnie każda inna nauka istnieje po za obrębem tych, co ją uprawiali a pomarli. Ale gdyby nawet nowym potopem cały ród ludzki wyginął, i powstała nowa para pierwszych rodziców a z niéj nowy ród ludzki się rozwinął, nie mógłby dojść do innéj matematyki, ani do innych nauk przyrodniczych, tylko do takich, jakie są dzisiejsze; sama nawet filozofia rozwijaćby się musiała w tych fazach, w jakich się rozwinęła w przeszłości, przemysł i handel i cywilizacja zdobywaćby sobie musiały te same środki, jakie my już posiadamy. Bo rodzaj ludzki jest tylko środkiem do odkrywania świateł intelligencji i jest wiedzą intelligencji w ten sposób odkrytéj; ale intelligencja sama jestto Bóg, będący wszechmądrością i objawiającéj tę wszechmądrość w sprawach natury i w pojęciach ludzkich.

Że p. Bernard wpadł na powyższe przypuszczenie, było rzeczą bardzo naturalną dla męża, który się oburzał na myśl, ażeby materja była obdarzoną własnością myśli i czucia; który życie uważał jako pożyczone od świata kosmicznego, czyli od wszechbytu; który mózg miał za mechanizm, na podobieństwo zegara, w którym to mózgu intelligencja ustaje, gdy krwi mu zabraknie, a intelligencja wraca, gdy w żyły człowieka obcéj żywéj krwi dolejesz. Wszakże fizjolog nie będący zarazem filozofem, nie znał zasad filozofji natury, która intelligencją boską, a więc i intelligencją ludzką, w prawach i życiu przyrody dopatruje, a zatem byt téj intelligencji po za obrębem istot rozumnych stawia.

Teorja zapładniania u istot organicznych jest czysto fizjologicznéj natury. Ziarnka roślin, jaja ptasze uważając w jednych i drugich tylko tak nazwane zarodki, bo reszta służy tylko za pokarm przyszłemu płodowi czyli embryonowi, tudzież jajka w jajnikach zwierząt ssących są mikroskopowym pęcherzykiem, czyli komórką z jąderkiem. Jąderko stanowi centrum życia komórki. Komórki te są bezczynne, jeżeli nie są zapłodnione, acz są nagromadzeniem tego wszystkiego co do utworzenia życia przyszłego indywiduum należy. Sperm czyli nasienie samca, sprowadza to zapłodnienie. Doświadczenia na zwierzętach żyworodnych okazały, że ku temu nie potrzeba koniecznie kopulacji, samo mechaniczne wprowadzenie spermu wystarcza. Spermatozoa są komórki w nasieniu samem, i wykonywują zapłodnienie. Są to żyjątka mikroskopiczne, bo strychnina je zabija, unieruchamia. W spermie męzkim są zawsze obecne, u zwierząt tylko w czasie ich ciekania się. Sperm bez tych żyjątków nie zapładnia. Zapłodnienie ma miejsce w jajniku, dowodzą tego nie tylko pozamaciczne ciąże, gdzie jajko nie do macicy, ale do jamy brzusznéj (peritoneum) wpada i tam się rozwija; ale i ta okoliczność, że żyją tam spermatozoa, dostawszy się do jajnika, przez otworek błonki jajka do jego wnętrza dostaje się. Ilość zapłodnionych spermem jaj, daje ilość nowych indywiduów, a szczęśliwym może jest domysłem, że spermatozoa same już są albo natury samczéj albo samiczéj, acz bez organów płciowych i dają początek już samczym już samiczym płodom.

Cały ten wywód fizjologiczny wyjęty jest, jak sam autor przyznaje, z dzieła embryologa Coste'a Histoire génerale et particulière du developpement des corps organisé. O zapłodnianiu roślin nic nam nie powiada. Dodaje w końcu swoje filozoficzne uwagi. Bóg w momencie stworzenia wszechbytu raz tchnął życie w materję. Ciągłość odwieczna kreacji na tem polega, że to tchnienie funkcja zapłodnienia w właściwy sobie sposób na początku odebrała i że przy każdem poczęciu nowéj istoty je powtarza (str. 232). Siła obudzona przy tym pierwszym związku — spermu z jajkiem — i przy téj pierwszéj mutacji, jest pierwszym momentem życia indywidualnego.

Studja nad krzyżowaniem rass wykazały, że samiec który raz zapłodnił samicę niezatarte piętno swéj indywidualności wywiera na nią i na dalsze jéj potomstwo, z innego pochodzące ojca. Samica która nosiła płód mięszany, już nie może wydać płodu pierwotnéj swéj, ani drugiego ojca rassy.

Druga ciekawa okoliczność fizjologiczna jest tak nazwana parthenogeneza, czyli rodzenie bez samca. Pokazało się, że wiele zwierząt stawowych, a szczególniéj pszczoły, niosą jaja zarodne bez samca, co tylko się tym sposobem tłómaczyć daje, że początkowe zapłodnienie odbyło się naraz na dwa lub na więcéj pokoleń. Są to jeszcze tajniki fizjologii, które tylko domysłami nie zawsze szczęśliwemi objaśnić się dadzą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

— Więc nie zażyjesz pan tego lekarstwa, które teraz zapisałem? — z wyraźną obawą zapytał Tucki.

— Zażyję... na złość medycynie i panu zażyję... albo mnie musisz struć doktorze, albo mi musisz przyznać niedługo, że z charakteru nikogo wyleczyć nie podobna... Dla tego tylko, a nie dla pańskich pięknych oczu jestem panu powolny...

— To mi najzupełniéj wystarcza...

— Inni doktorzy jednak mówią, że jest koniecznem żeby chory wierzył w lekarstwo, bo inaczéj go nie uzdrowi...

Doktor Tucki uśmiechnął się, wzruszył ramionami i odpowiedział:

— Szarlatanerja... mistycyzm... głupstwo!...

Przytoczyliśmy tę rozmowę raz dla tego, że maluje nam ona usposobienie w jakiém znajdował się nasz bohater, usposobienie wywołane może nadmiarowém użyciem przepisanego przez doktora lekarstwa, a powtóre dla tego, iż z niéj widzimy, że figiel, który Pilski chciał spłatać doktorowi, rzeczywiście wprowadzał Eskulapa w ambaras, czynił go nieodpowiedzialnym za możebne skutki kuracji, i wcale nieprzewidziane mógł sprowadzić następstwa

Nowo przepisane remedjum były to pigułki, które doktór zalecił brać codziennie w coraz większéj ilości, poczynając od jednéj, kończąc na dwunastu naraz.

Potępiwszy mistyków i szarlatanów małżonek pani Heleny pożegnał swego pacjenta, który zamykając drzwi za nim, rzekł do siebie:

— Zjesz djabła czy dojdziesz ze mną ładu... na przekorę zacznę od dwunastu i będę brał coraz mniéj..

Kazałeś zażywać w podzinę po objedzie, zażyję na czczo... zobaczymy kto z kogo śmiać się będzie na końcu.

Żeby zażyć lekarstwo na czczo, trzeba było pierwszą dozę odłożyć do następnego dnia, tymczasem pozostawały jeszcze długie godziny, których nie było czém zabić.

Bohater nasz, czytelnicy pamiętają o tém zapewne, nie miał chwilowo żadnego zajęcia i pędził życie zupełnie bezczynne. O ile się zdaje, nie był do tego dawniéj przyzwyczajonym i to więc przyczyniało się bardzo do tego, że w najbłachszych rzeczach znajdował upodobanie i oddawał się im z namiętnością, która go do pewnego stopnia czyniła dziwakiem.

Postanowił użyć wolnego czasu na to, ażeby kiedy się jedno nie udało, innym sposobem wywołać wojnę na Babiéj wyspie.

Poszedł z drugą wizytą do pani Tuckiéj.

Tym razem zastał ją wyjaskrawioną jak należy. Pani konsyljarzowa, któréj przeczucie jakieś mówiło, że jego odwiedziny odbierze, przygotowała się widocznie na jego przyjęcie, służącéj nie posyłała nigdzie, miała wszystko pod ręką, mogła zaraz jak się tylko ukazał zacząć zastawiać stół specjałami, któremi daleko łatwiéj zapewne byłoby nakarmić tysiące zgłodniałych, niźli siedmiorgiem chleba i dwiema rybami. Jako pozór do tego częstunku, który mógł się gościowi dziwnym wydawać, pani Helena wybrała chęć zasięgnięcia jego zdania co do niektórych sporządzonych przez nią przysmaczków, a gość nietylko nie wymówił się brakiem znawstwa w rzeczach gastronomicznych, ale owszém przyznał się otwarcie, że jest w tych rzeczach specjalistą, bo wszelkie specjały lubi.

Pani Tucka promieniała szczęściem, ale niestety krótkiem być miało jéj zadowolenie.

Pilski jakby umyślnie, i najniezawodniéj umyślnie, nie wzdychał ale rozmawiał i wybierał do rozmowy przedmioty takie, które jej były najwstrętniejsze.

Zaczął od tego, że Babią wyspę nazwał przybytkiem gracji. Był to komplement, bo naturalnie pani Tucka domyślić się mogła łatwo, że i ją uważa za jedną z trzech towarzyszek Wenery i wnuczek Oceanu po kądzieli, komplement ten jednakże był dla doktorowéj nieznośny, bo był także komplementem dla dwóch innych sąsiadek.

Pilski nie poprzestał na tem. W dalszym rozmowie wymienił panią Porwiczową w ten sposób, że wyraźnie dał do zrozumienia, że ją za drugą grację Babiéj wyspy uważa, i nie było wątpliwości, że się nie cofnie przed wyraźnem wskazaniem trzeciéj.

Pani Tucka zagadywała jak mogła, zapraszając go do przekąski, jego to jednak nie zbijało z tropu. Aby zadość uczynić gospodyni, jadł co przed nim stawiała, chwalił jéj kulinarne talenta, lecz co chwila zawracał do swojego, tak że doktorowa aż mu życzyć zaczęła w duchu, żeby się wpierw udławił nim jako trzecią grację Babiéj wyspy piękną nieznajomą wymieni.

I to pobożne życzenie nie pomogło jednak bynajmniéj. Było zapisanem w księgach przeznaczeń, że pani Tucka nietylko rozgniewaną będzie tego dnia, ale oburzoną i zgorszoną na serjo.

Bohater nasz ani słówkiem nie wspomniał o Jadwidze. Trzecią gracją, według jego pojęć estetycznych była na Babiéj wyspie — panna Iza.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z pośmiertnych dum
Tadeusza Komara.

Północna dumka.

W czas zadusznéj, głuchéj nocy
W twarz mi wionął wiatr północy;
Z pieśnią nocnych duchów, dumnie,
Wiatr z północy powiał ku mnie.
Aż mi w piersiach zgrozą jękło,
W słuchu niby szydem szczękło,
Jak zgrzytliwym kajdan brzękiem,
Jak przybitym młodym jękiem!

„Zkądże wietrze, wiejesz ty
Smutny, jak na śniegu sny?“

Z nowém wyciem jęknął on:
„Czyś nie poznał po klątw dźwięku
I podziemnym moim jęku,
Z jakich dziwnych lecę stron?!
Zimno-biała, śnieżna błoń,
Gdzie raz tylko słońce w rok,
Swą przechyla jasną skroń,
Aby smutne uciec w skok:
Tam to moja jest ojczyzna,
Tak urocza jak siwizna!

„W czas północy, na biegunie
Pieśń zniszczenia zagwizdałem...
I po śniegów skróś całunie
W pląsie wściekłym pohulałem...
Tam, od lądów dwóch ulicy
Po skalistych grzebiu gór,
Co w jałowéj okolicy,
Stoją jak zaklęty mur,
Jak strażniczy niby wał,
Co jak gadu zwłok przesłania
Świat niewoli od wygnania...
Ztamtąd, w skok, jam daléj gnał:
Po Sodomy carskiéj gród,
Aż po brzegi czterech mórz,
Pohulałem wszerz i wzdłuż,
Żywe wody kując w lód...
Synów ziemi mrożąc krew,
Przewionąłem wzdłuż i wszerz!
Gdzie mój zawiał dziki śpiew,
Z trwożném wyciem krył się zwierz
Do podziemnych swoich leż
W chatach ciemny naród bladł,
Krzyża znak na czole kładł,
I tuliła dziatwę macierz,
Zabobonny szepcąc pacierz!“

„I cóż wietrze mieścisz ty,
Co w lód mienisz ziemskie łzy?“

„Jestem zgrozy pełen cały!
Tshnienia moje zasypały
Pułk skazańców carskich cały,
W śnieżnéj burzy zabłąkany.
W imię carskiéj, dobréj woli,
Wedle wszelkich praw skazany
Nie na śmierć — lecz na skonanie!...
Zlitowałem się ich doli!...
Ułaskawiłem skazanie!...
Zbiry konno mi uciekli,
Carską służbę klnąc jak wściekli!“

„Czy nie było tam nikogo?“

„Nie wiem... w onéj groźnéj chwili,
Kiedy człowiek-duch się sili
Biorąc rozbrat z człekiem-ciałem,
By pójść każde swoją drogą...
Tylko klątwy ja słyszałem,
Lecz modlitwy żadnéj zgoła!“ —
„Więc nie było tam nikogo
Z tych co myślisz, z grzechu dziatwą,
Po męczeńskiéj dumie czoła
Poznałbym ich w tłumie łatwo!“

„Więc nikt z naszych!... dzięki ci!
I cóż więcéj powiesz mi?!“

„Jeden z carskich szpiegów sług,
Iskier ducha wściekły wróg,
Spłacił piekłu stary dług...
W noc bezsennych dum, z niechcenia
Obliczając się z sumienia,
Nagłą się rozpaczą zbiesił, —
I klnąc, z paszczą zapienioną,
Boga, cara, matki łono,
Spity, na śmierć się powiesił
Na téj wstędze, co mu car
Przysłał świeżo.... Co za dar!!
Lecz znać w jakiéjś chwili złéj...
Towarzysze jego grzechów
Śród pijanych szydnych śmiechów,
Rzekli: jednym podłym mniéj!“

„Pali, niby piekieł skra
Duszę moją powieść twa,
Lecz za powieść dzięki ci,
Więcéj mów, o więcéj, mi!“

„Tam, wśród sybirskiego grodu,
Młodzian z twego krwi narodu,
Dumnych oczu, bladéj twarzy
Przy ostrogu stał na straży...
Z pola bitw, z wiślnych stron
Zagnan był za Ural on...
W żywéj myśli jak w obrazku,
W samotniczéj czas zadumy,
W całym swych uroków brzasku,
Śnić się jęły wspomnień tłumy
Niby żywe: ojców dom,
Dziewy jasne w łzach wejrzenia,
Młodych, dziarskich rąk ściśnienia,
Wolnych bojów głuchy grom,
Ległych duchów drogie lica...
Dzika zdjęła go tęsknica...
Wstrząsł się... wzgardnie spojrzał w koło,
Westchnął, krzyżem znacząc czoło,
Spojrzał raz na nieba sklep,
Rzucił broń i ruszył w step.

Pogoń za nim w trop wyległa,
I na ślady jego wbiegła...
Ale zbirów niewolnikiem
Został jeno trup skrwawiony..
Ja mu byłem spowiednikiem...
W kwiaty z jasnéj krwi upstrzony,
Biały śnieg był śmierci łożem...
Młodzian w piersi pchnął się nożem!
Patrząc w śmierci wzrok bez lęku
Zgasł bez skargi i bez jęku!
„Boże! przebacz! ginę wolny!
Chodzić w jarzmie jam niezdolny!
Polsko! matko!... bądź mi zdrowa!“
— To ostatnie jego słowa!“

(Dokończenie nastąpi).

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiem w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg.)

Po dniach lutowych roku 1848 wszystko wrzało w Warszawie.

W wigiliją św. Kazimierza przeszło sto osób zebrało się u pp. Wojcickich. Tualety balowe, liczne światła, woń kwiatów, muzyka dobrana — wszystko jakby tchnęło życiem. Młodzi podśpiewywali przy polce — przy mazurze — i zabawa aż do dnia białego potrwała.

Niestety! był to na lat pare — a raczéj kilka — ostatni wieczór tak szczerze wesoły.

Na życie towarzyskie Warszawy oddziaływa dotkliwie każda klęska publiczna — każda niedola bratnia.— Następstwa politycznych przewrotów w całéj niemal Europie po rewolucji lutowéj w Paryżu, i reakcjach srogich — krwawe i pełne zgrozy dramata — nasze ofiary, bez których nie obędzie się nigdy i nigdzie, — bombardowania Krakowa, Lwowa... — nową społeczność polską przygnębiło boleścią a okryło żałobą. — Opatrzność w wyrokach nie dościgła swoich — niepojęta dla nas, dzieci ziemi — snać naród polski do walk ciągłych i ciągłych namaszczyła cierpień, bo przy każdem krwawem żniwie jaśnieją imiona polskich bohaterów i ofiarników. A wszakżeż nic bez Bożéj nie dzieje się woli; wszystko cele ma swoje i krew przelana użyźnia — i łza, jakoby rosa niebieska, marnie nie wypłynie. Zatem ufajmy! —

Po dniach marcowych zagrźmiał groźny ukaz cara: „Korzcie się ludy — (p o g a n i e!) bo z nami jest Bóg!“ — A Europa wstrząśnięta nadziejami swobód nowych i chwilową miłością ludowego braterstwa, zadrzeć miała trwogą i paść krzyżem ze skruchą — co też i niebawem wstrętnie w różnych reakcyjnych objawiało się pracach, że aż B r e s l a u e r Z e i t u n g w jednym z numerów swoich wyrzekła: I c h w i t t r e m o r g e n l u f t. O K n u t e! —

Po objawach zapałkowych plemiennego braterstwa — nastąpiły plemienne prześladowania we Lwowie, Krakowie, Poznaniu. —

W ziemiach polskich mnożyły się aresztowania z dniem każdym. Zwożono licznych więźniów do cytadeli warszawskiéj — gdzie sądy zgrozliwe toczyły się bez przerwy: ucisk i trwoga przed jutrem cały ogół przybiły. Młodzież uciekała za granicę przed zgrozą więzienia — Kaukazu — Sybiru — potajemnie, bez pożegnania.... ażeby na rodzinę i przyjaciół niedoli nie ściągnąć.

Pamiętam — przyszedł Teofil Lenatowicz, udawał ożywienie, wesołość — przyniósł jakiś artykuł z gazety którejś niemieckiéj w duchu nader liberalnym — zadeklamował prześlicznie — pożegnał się: „Do widzenia!“ — a nie ujrzałam go więcéj! ...

Cytadela warszawska — ów smok nowożytny, jakoby powtórzenie legendowego, zabitego przez Krakusa — przepełnioną była ofiarami. Niektórych więźniów podobno do Modlina wywieźli — innych wysyłali na Sybir, by drugim miejsca przysporzyć! — A winnam tu odpowiedzieć, że gdy wywożą nieszczęśliwych, biednych skazańców, są zacni i szlachetni opiekunowie, którzy już naprzód dla nich odzienie i wszelkie obmyślą potrzeby. Wywiadują się.... tygodnie i miesiące pierwéj, kiedy ta wysyłka nastąpić może. Czekają w dniu oznaczonym na Pradze — gdzie wysłańców bratnim żegnają uściskiem, niosąc im ostatni wyraz serdeczny na długie lata wygnania — a niekiedy i na zawsze! — A Farewell for ever! jak mówi Byron.

28go września mąż mój został aresztowanym. Ciężki zgnębił mnie smutek.... Ale zarazem doświadczyłam przyjaźni rzadkiéj i serdecznego współczucia.

Po strasznych wypadkach r. 1846 nikt nie chciał do teatru uczęszczać. I nieraz ktoś jakiś zastępował na ulicy, zapraszał na przedstawienie i bilet ofiarował gratis. Wszystko zaś, co zależało od policji po szczegółowo, bywać w nim po służbie musiało. —

Podobnie działo się i w roku 1849. — Nie było balów żadnych, nie było zabaw tanecznych. A jeszcze jawili się przestrzegacze, którzy przez oświetlone okna — zwłaszcza gdy zadźwiękł fortepian — wrzucali kamienie z przywiązanem do nich ostrzeżeniem piśmiennem, ażeby nie tańczono. Gdy bankier Frenkel bal wyprawił, na którym znajdywali się niemal wszyscy dygnitarze rosyjscy, otaczał dom jego — przy Bielańskiéj ulicy — szereg żandarmów na koniach.

Wśród smutnych i bolesnych wypadków, działy się niekiedy i śmieszne wcale, jak to bywa zwykle przy zbyt ślepem służalstwie i wietrzeniu wszędzie rewolucjonistów. — Ksawery Norwid, brat najmłodszy Ludwika i Cyprjana — gieometra — młody, przyjemny, zacny i pracą zajęty, był lubionym powszechnie. Chłopczykiem będąc, z szabelką przy boku, w kaszkieciku papierowym i szlifach szychowych, nazwano go kapitanem. Tytuł ten pozostał mu żartobliwie w rodzinie. I w ściślejszych kółkach warszawskich także nazywano go kapitankiem. — W r. 1848 czyjeś duże, otwarte, czujne posłyszały to uszy: Ksawery Norwid został aresztowany — i tłomaczyć się musiał: jakim to on jest kapitanem? — Szczęście, że wyjaśnienie tego żartu nie było trudnem do wytłomaczenia — inaczéj byliby go pewno więzili długo.

W maju zjechał car Mikołaj do Warszawy i zamieszkał, jak zwykle, w Łazienkach. Potrzebny był tamże — pour faire tableau — widok spacerujących elegantów i elegantek, zwłaszcza téż w czasie odwiedzin cesarza austrjackiego. Więc znowu sztuczną pod tym względem stworzono dekoracją — że się tak wyrażę — i po ukazie musiało wiele osób, rozumie się, zależnych, spacerować przed łazienkowskim pałacem. Do tych należało i Towarzystwie dramatyczne, zostające pod rozkazami jenerała Abramowicza, oberpolicmajstra i dyrektora. Mieli darmo dorożki, które ich tam zawoziły — a winni byli występować w pięknych ubraniach i jasnych rękawiczkach. — Także arcy-przykra pańszczyzna! —

Opowiadano, że car, stojąc na balkonie z cesarzem, wskazał mu przechodzących i wyrzekł głośno: „To są moje Węgry!“ — przypuszczając, że to jest zwyczajna publiczność warszawska.

Wkrótce potem nastąpiła wojna węgierska — i krew polska obficie polała się znowu.

Miesiące biegły. Interes dla wywalczających niepodległość swoją, był w polskiéj społeczności podnieconym do nawyższego stopnia. Wierzono z zapałem w pewne zwycięstwo — a bratniéj życzliwości uczucie opromieniało je najpiękniejszym nimbusem, chwytano tylko szczęsne z pola boju wieści — o niepomyślnych i słuchać nie chcieli.

Byłam w przyjaznym mi domu, gdy nadszedł pan * — który, jako wyższy urzędnik, był dnia tego po interesie w Belwederze. Czekał w sali audjencjonalnéj, gdzie bawili adjutanci i wyżsi oficerowie. Nagły ruch powstał — stukot — bieganie — i wszedł pułkownik jakiś, okurzony, zczerniały: przybył wprost z Węgier, jako wysłaniec od księcia feldmarszałka.

Car był obok w salonie — kazał mu natychmiast stanąć przed sobą, że i nie podążył nieco kurzu z dalekiéj ztrząsnąć podróży.

Wyrazy głośnéj, żywéj rozmowy — zapytań i odpowiedzi, dolatywały przez zamknięte podwoje. Pomiędzy któremi pan * dosłyszał wyraźnie: „Goergey seul est traitable.

W dni kilkunaście potem, trzynastego sierpnia, oddał się Goergey pod Wilagosz z całą armiją Paszkiewiczowi!

Wiadomość ta piorunem raziła wszystkich. — Z cytadeli na wiwat działa zagrzmiały.

Szłam właśnie do Wojcickich. W drodze zastąpił mi p. K. i opowiadał co znaczą armatnie wystrzały.

U Wojcickich kilka zostałem osób — a nie wiedzieli jeszcze o niczem.

— Niepodobna!

— To jest pomyłka!

— Nie wierzę! — ozwano się chórem.

— Nie wierzę, aż zmierzę! wyrzekł Lisowski. — Pobiegnę na miasto. Dowiem się i z pewną wiadomością powrócę.

— Wracaj, panie, wracaj! wołała za nim jeszcze pani Hanna.

W pół godziny potem nadszedł — ponury — ze zwieszoną głową.

— A co? zagadał pan Kazimierz — spuściłeś nos na kwintę.

— Goergey zdradził!.... — odrzekł ze ściśnionéj piersi. — Poddał się z armią całą. Skończyła się wojna. Paszkiewicz panem.

— Ale któż ci mówił?

— Spotkałem Płatonowa i zapytałem go... Przybył młody Paszkiewicz, pułkownik, jako kurjer od ojca... A jak go car Mikołaj przyjął!!!

— Ha! Więc prawda!

Płatonow, senator, uważanym był wtedy powszechnie, jako Rosjanin zacny, rozumny, sprawiedliwy — jako człowiek honoru. Wiedziano, że jest synem Platona Zubowa. A car nie chciał by nosił nazwisko ojca. Nadto był i ożeniony z Polką, piękną panią Drzewicką, córką szambelana Stanisława Augusta, Nowakowskiego.

Zwycięzcy powrócili w tryumfie.... A niezadługo potem przybyło kilku panów węgierskich do Warszawy — i ofiarowali Paszkiewiczowi obywatelstwo honorowe w Peszcie. Chodzili po mieście w stroju narodowym.

Był pomiędzy nimi i jeden Bathyani, jakeśmy to z Kurjera warszawskiego wyczytali.

Odpowiadał mi K. K. — Polak — oficer z pod jenerała Dębińskiego — że w chwili, gdy nieszczęsna kapitulacja zawartą została, przypadł młodziutki Węgier na koniu spienionym do obozu polskiego, zeskoczył z niego, padł na kolana, wyciągnął złożone dłonie i z jękiem zawołał:

— Polacy! Ratujcie! Ojczyznę naszą zaprzedają... zdradzają! — przechylił się nagle — padł twarzą na ziemię... serce w nim pękło!

Otoczyli go nasi — podnieśli... Jakiś sędziwy wojak przycisnął usta do jego czoła pobladłego — a wszyscy mieli łzy na oku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronika tygodniowa.

„Zmartwychwstaje się z pod gromu“, powiedział poeta, i musiał powiedzieć prawdę bo sam na sobie doznaje dziś tego kronikarz tygodniowy Wielkopolanina, gdy po spadłych nań w zeszłotygodniowym fejletonie Dziennika gromach, zdolnym jest przemówić jeszcze. Fejlotonista ów, ufny w trójnóg z którego przemawia, odmówił kronikarzowi prawa bytu, twierdząc że podobne zapisywanie spraw tygodniowych małego jak Poznań miasteczka, które aż kilka pism konotuje, jest zupełnie niepotrzebnem. Dajeż bo dowód niezbity, powiada że były kroniki poznańskie w Sobótce, że były w Dzienniku Poznańskim a obecnie są w Tygodniu Drezdeńskim. Pomijając dwa pierwsze dowody jako byłe, na trzeci odpowiedziećby można, że nie każdy czytelnik Tygodnika jest zarazem czytelnikiem drezdeńskiego Tygodnia, a kronikarz Tygodnika to nie mnich benedyktyn, co spisywał dzieje na to, aby o nich przyszłe wiedziały pokolenia; on nie ma bynajmniéj zamiaru bronić „od zaginienia dla przyszłości czynów naszego miasta“, ale na to pisze swoją kronikę aby ci, co są zdala od ogniska ruchu Wielkopolski wiedzieli co się w niem dzieje. Bezzasadnym jest zarzut, skazującego mnie na śmierć sędziego, że kroniki tygodniowe wyłącznie politycznemu przystają pismu, pomijając już to, że najlepsze tego rodzaju tak polskie jak i cudzoziemskie publikacje mają kronikę, tę łącznie z czytelnikiem, bez której pismo traktowałoby li tylko naukowe kwestje, zapominając o życiu, w około niego pulsującem; powiedzieć tu można, że jeżeli pismu politycznemu wolno w sposób lekki mówić raz w tydzień o życiu politycznem, to pismu naukowemu również koniecznem jest pomówić o życiu umysłowem. Są rzeczy, których nie można podciągnąć pod żadną rubrykę pisma, a o których przecież godzi się pomówić z czytelnikami, chociażby w sposób lekki; są książki, których szczegółowy rozbiór nie zająłby ogółu czytelników, a o których istnieniu wiedzieć nie zawadzi. — Kroniki zaś z Warszawy, Krakowa, Lwowa i t. p. mają na celu nie opowiadanie mieszkańcom Wielkopolski, że „i tam ludzie żyją“, ale pokazanie im chociażby małéj cząstki tego, co w innych kraju dzielnicach ciż ludzie czynią na polu umysłowego życia. Tak położywszy veto przeciw wyrokowi méj śmierci, wracam do zwykłéj z wami, mili czytelnicy, gawędy.

* * *

Lecz pierwéj, jedno jeszcze słówko.

W tymże samym 110 numerze „Dz. pozn.“ pomiędzy innemi zarzutami czynionymi „Tygodnikowi Wielkopolskiemu“ znajduje się jeden, którego żadną miarą przemilczyć niemożemy. Szanowny autor twierdzi, że „Wspomnienia“ pani Pauliny Wilkońskiéj są nudne, ubolewa że musi czytać o frakach, o kolorze rękawiczek gości w salonach literackich, zapominając, że autorka wspomina o nakazie władzy noszenia podobnego a nie innego koloru rękawiczek, kroju fraków i t. d.... Co kogo obchodzi byle jaki frazes pierwszego lepszego jegomości? pyta daléj fejletonista. Być może, że szanownego recenzenta z wysokości „trójnoga“ — rzucającego apodyktyczne frazesa, mało podobne szczegóły zajmują. Nas interesują one więcéj.

Niewiadomo nam, czy szanowny autor krytyki czytał listy Odyńca z podróży, i to co o nich pisano? — Jeśli nie, radzę niech je chociaż przerzuci, bo są ciekawe bardzo, choć często piszą o kolorze rękawiczek, o frakach a nawet o barwie włosów i oczu osobistości, nieznanych może sz. recenzentowi — a mimo to sławnych.....

Zresztą, posłuchajmy co w téj mierze, mówi p. J. Ig. Kraszewski w Nr. 20 „Tygodnia drezdeńskiego,“ a przekonamy się o ile ten niepospolity pisarz różni się w zdaniu od szanownego krytyka w „Dz. pozn.“ Oto dosłowny wyjątek:

„Pani L. Wilkonska, autorka tylu miłych i pięknych powieści, wydać ma drukujące się w „Tygodniku Wielkopolskim“ Wspomnienia swoje, nadzwyczaj zajmujące, rozszerzone, powiększone, mające objąć wiele bardzo obrazów współczesnych. Następują po rozdziałach, któreśmy czytali, dom pp. Wójcickich, Dworzaczek, pp. Korzeniowscy, pani Sew. Pruszakowa, wreszcie wspomnienia Augusta Wilkońskiego i własnego domu p. Wilkońskiéj. Znajdą się zapewne w dalszym ciągu obrazy z księstwa, pobyt w Krakowie, Karlsbadzie, Salzbrunie i spotkaniu ze znakomitościami naszemi i obcemi, które pani Wilkońska tak dobitnie, z takim wdziękiem i delikatnością uczucia malować umie. Będzie to niezawodnie jedna z najbardziéj zajmujących publikacji tego czasu, który w większéj części przeszłością tylko żyć musi, aby tęsknoty nie umarł. Niecierpliwie jéj oczekujemy.“

Co głowa to rozum, — powiada przysłowie. Lecz nam się zdaje, że krytyk drezdeński głębiéj sięgnął do przedmiotu, — i znalazł w nim to, co dla oka szanownego recenzenta poznańskiego było ukrytem. Inaczéj sądzimy, że i zdanie tego ostatniego o „Wspomnieniach“ pani Wilkońskiéj w mniej drastycznéj objawiłoby się formie. —

* * *

Ta nieszczęśliwa polemika tyle mi zajęła miejsca, że niewiem mili czytelnicy, czy starczy mi papieru do zapisania choćby kilku faktów i dziennych wydarzeń z bruku poznańskiego? Może choć jeden uda mi się zanotować. —

I tak:

Na pierwszem miejscu, kładziemy wiadomość o przybyciu do naszego grodu, (używając stereotypowego wyrażenia), młodego i zdolnego rzeźbiarza pana Leopolda Steinmana, naszego ziomka, który od roku zeszłego, jest już po raz wtóry gościem naszym. Pan Steinman kształcąc się w Warszawie i w Berlinie, — pracami swemi piękne daje świadectwo o postępie i zdolnościach swoich. Oglądaliśmy w pracowni jego portret śp. Macieja Mielżyńskiego, Dra Marcinkowskiego, a te utwierdziły nas tylko w raz powziętem o młodym tym artyście zdaniu.

Miejmy nadzieję, że miasto nasze, aczkolwiek mało posiadające artystycznego żywiołu, potrafi czas dłuższy zatrzymać w obrębie swoim pana Steinmana.

* * *

Z kolei, a raczéj z obowiązku winniśmy powiedzieć coś o ulubionym naszym artyście p. Maleszewskim. Ale cóż, nie jest w zwyczaju u nas odwiedzać pracownie artystów, dowiadywać się o nowych ich pracach lub planach do tychże... Gdzieindziéj, odwiedzają, patrzą, podziwiają — i zakupują lepsze prace... U nas... Chodzimy na zebrania towarzystw przemysłowych, na posiedzenia spółek, na piwo do Liedkiego i to nam wystarcza... My, powiedzmy sobie szczerze, nie umrzemy z głodu wrażeń... I niewiem skąd, pisząc te słowa, nasunęła mi się pod pióro zwrotka z dumki Wasilewskiego:

„Drzym sobie duszo, co ci do tego,
Że tam myśl czyjaś po niebie lata...
Że ktoś ciekawy początku swego,
Ze starych grobów kurze omiata?
Co ci do tego, że tam grom pali,
Że jesień wichrzy, lub śniegi pruszą...
Ty na promykach, zapachów fali,
W pieluchach marzeń — drzym sobie duszo!“

Tylko że te promyki i te zapachy — jakoś nie à propos naszych zwyczajów i nawyknień... My...

— A dość tam tego jeszcze będzie, pyta mię, wchodzący w téj chwili zecer.

— Czemu? odrzeknę zatrwożony... gdyż tyle jeszcze pięknych rzeczy można było napisać o niedołęztwie naszem duchowem.

— Bo miejsca nie starczy, korespondencje trzy, teraz wiersz, teraz powieść, teraz...

— Kończę już kończę, zawołałem z rozpaczą, nolens volens odkładając rozprawę o sztukach pięknych w ogólności a o zamiłowania ich w Księstwie w szczególności, do przyszłéj kroniki. **B.**

Korespondencje: Z Krakowa, Warszawy i z ziemi Warmińskiej.

Kraków, dnia 11 maja.

Spieszę dziś do was z pełną torbą wiadomości po większéj części poważnych — szkoda tylko, że mam nieprzezwyciężony wstręt do górnolotnych frazesów, miałbym bowiem obszerne pole do popisania się z tak wzruszającym i namaszczonym stylem jak n. p. kazanie wielebnego O. Goliana.

Na pierwszem miejscu przytaczam odręczne pismo cesarza do ministra Jreczka wyrażające życzenie aby ustanowioną została nowa akademia nauk i umiejętności z siedliskiem w Krakowie. Fakt to bardzo ważny sam przez się i nie potrzebuje żadnej stylizowanej okrasy, — ważny nietylko dla tego, że liczni członkowie naszego towarzystwa naukowego będą się w przyszłości podpisywali akademikami, nie tylko nawet dla tego, że pisma chumorystyczne i kroniki miejscowych dzienników będą się miały o czém rozpisywać długo i szeroko, ale dla tego że..... zobaczemy co to będzie!

Oprócz tej ważnéj nadziei że nowa akademja wpłynie na stan nauk i umiejętności nierównie silniéj aniżeli dotychczasowe towarzystwo naukowe, mamy jeszcze nadzieję ujrzenia niebawem dwóch nader interesujących publikacji Pierwszą z nich będzie dziełko Władysława hr. Dienheim-Chotomskiego pod tytułem: „Nowa umiejętność mównictwa“, drugą zaś „Pamiętniki“ spisane przez Natalisa Sulerzyckiego byłego posła ziemi pruskiej na sejm berliński.

Praca p. Chotomskiego, o ile nam z przejrzanego rękopisu i ustnéj rozmowy z szanownym autorem wiadomo, będzie jasnem i treściwem spopularyzowaniem naukomitego uczonego Maxa Müllera o genezie mowy ludzkiej, jego badań nad pierwiastkami pojedyńczych wyrazów i ważnych dla lingwistyki i historji cywilizacji wniosków. Że nauka Müllera posiada wielkie znaczenie świadczy już to, że uniwersytet oxfordzki otworzył dla niego specjalną katedrę, a dzieło jego w ciągu lat trzech doczekało się czterech wydań i kilku tłómaczeń. Zwracając uwagę naszych czytelników na tłomaczenie francuzkie dokonane przez pp. prof. G. Harris i G. Perrot Paryż 1866. - dodajemy, iż żaden z naszych uczonych na przedmiot ten nie zwrócił uwagi, jedyny zaś w sprawie téj artykuł p. Estreichera drukowany w Bibliotece Warszawskiéj przeszedł niepostrzeżenie. Nie wątpiemy ani na chwilę, że dzieło p. Chotomskiego dotyczące rzeczy ważnéj i dającéj wiele do myślenia, obudzi zajęcie naszego świata naukowego a przynajmniéj lingwistycznych kontrowersistów i tak licznych archeologów.

Szersze jeszcze koło czytelników znajdą zapewne pamiętniki pana Sulerzyckiego. Sędziwy, powszechnego szacunku używający ich autor, od lat kilku stały mieszkaniec naszego grodu, brał żywy udział we wszystkich ojczystych sprawach począwszy od 1831. r. Jego kilkakrotne więzienia, jego praktyczne zabiegi około gospodarstwa, jego stosunki nareszcie z czołem obywatelstwa polskiego i wszelkiego rodzaju klęski jakich niestety doznał obficie, upoważniają nas do wniosku, iż ta praca starca będzie w wysokim stopniu zajmującą i pouczającą.

Ani zajmujące ani pouczające było następujące zakulisowe zdarzenie ale nie w teatrze. Było to przed paru dniami na posiedzeniu medycznego fakultatu Jagiellońskiéj Wszechnicy. Obecni dziekan prof. dr. Gilewski i gremium profesorów. Dziekan stawia wniosek aby za przykładem uniwersytetów całego świata przesłać adres uznania wyklętemu Doellingerowi w Monachium. Wniosek został jednogłośnie odrzucony! O jednomyślności nic mi nie mówiono.

Chociaż Doellinger i Friedrich, wyklęcie i wniosek Gilewskiego i cała ta sprawa nie dotyczy zupełnie rereligji a jest po prostu rzeczą zdrowego rozsądku i miłości prawdy, to wstrzymuję się przecież od wszelkich dalszych uwag — zostawiając tę sprawę przyszłemu historjografowi krakowskiego uniwersytetu.

Od ostatniego mego listu dawano na naszej scenie znowu dwie zupełnie nowe sztuki: dramat Wiktoryna Sardou „Fernanda“ i niepospolicie zabawną nową farsę J. A. hr. Fredry „Consilium facultatis.“ Od dzisiejszego wieczora zaczynają się gościnne występy p. Wincentego Rapackiego, który zabawi u nas cały miesiąc. Sztuki w których artysta ten występować będzie należą jednak do starego repertoaru. Oczekujemy także przybycia p. Modrzejewskiéj a nadto jest nadzieja, że najznakomitszy polski tragik p. Jan Królikowski da się pozyskać na kilka wieczorów — Do pocieszających tych wiadomości teatralnych dodać jednak musimy tę smutną okoliczność, iż obok polskich odbywają się teraz co drugi dzień przedstawienia wędrownych aktorów niemieckich, których dyrekcja z mocy kontraktu sądowego zmuszoną jest powoływać. W jakim celu zgraja ta przyjeżdża, niewiadomo. Kraków jest przecież czysto-polskiem miastem, Niemców na bruku naszym dzięki Bogu nie ma, urzędnicy von draussen są już za dziesiątą górą. Jeżeli więc idzie o sprawienie przyjemności garnizonowi to można to urządzić gdzie indziéj n. p. w piwiarni Frühbecka, po cóż w polskim teatrze? — Niestety dzienniki miejscowe sprawy téj nie poruszają, a pewna część młodzieży zachęcona ich milczeniem chodzi oglądać wychudłe niemieckie lafiryndy i wspomaga tym sposobem reisirende Deutsche Kunst.

O'Le.

Warszawa 12 maja.

Widocznie stara machina wszechświata cierpi na jakąś chroniczną chorobę, prawdopodobnie na zastarzały katar, bo pomimo tego, że skowronek dzwoni już „jedną z najrańszych swych piosnek“ zimno u nas jest tak nieznośne, że niepodobna wyjść na świat bez ciepłego okrycia. Słońce świeci jakoś blado-zimno wszędzie i na świecie i w sercach ludzkich. Gdybyż to można znaleść jakiego nowego Asmodeusza, jak to miał szczęście świętéj pamięci Le Lage i przy jego pomocy zajrzeć do serc naszych, to krzykby się wielki z piersi dobył, krzyk Szekspirowski: horror! horror! Na mogile dymiącej jeszcze krwią świeżą, nie porosłej trawą, z pod której kości szaremi oczyma patrzą, zawiedliśmy tan szalony, strojni w szmaty niegdyś purpurowe...... I smutno nam i łzawo w tym tańcu dziwnym, choć śmiech nerwowy, przeciągły tętni po piersi — oderwanej od wszystkiego co podnioślejsze, co szczytniejsze, poczęliśmy warjacki pościg za groszem, za chlebem codziennym... O! utinam sim falsus vates, ale zdaje mi się, że już koniec

blizki...... że wskazówka na dziejowym zegarze dobiega północnéj doby żywota — a nie ma ręki coby biblijne sta sol! rzuciła w przestrzeń, coby ją wstrzymała...... kiedy myśl o tem wszystkiem w mózgu ci wierci jak robak plugawy, to na ustach wiesza się krzyk serdeczny Skargi „Gdybych ja był Jeremius, wołałbych na was grzesznicy i grzesznice, rozpustnicy i rozpustnice!“......

Nie jestem pessymistą, ale patrząc na obraz społecznego życia Warszawy, żal wielki ściska duszę. Młodzież, zrzuciwszy ze siebie wszystko co szlachetniejsze, szczytniejsze, co do gwiazd wiedzie — oddała się za to zapalonemu ściganiu grosza, myśli o dzisiej, o wygodach życia, o użyciu wreszcie. A co będzie jutro?... Ja nie wiem i myśleć o tém nie chcę, boję się, jak Makbet widma Bankowego, boję się tego jutra czarnego, czarniejszego od trumny... A mamy przecież świeży, niezastygły jeszcze obraz takiego upadku bezprzykładnego w dziejach, upadku wielkiego narodu, który jeden zachował dla nas serdeczną sympatję. Jeśli ten przykład nic nas nie nauczy, jeśli nie skamienieje groźnem widmem w sercach naszych to biada nam!...

Literatura nasza warszawska zamknęła się w ciasnem kole mało-miasteczkowych interesów, plotek i kłótni. Każde pismo utworzyło obóz odrębny, sam w sobie choć bez sztandaru, bez myśli przewodniej i spuściwszy przyłbice wojuje na zabój z sąsiadem. Jeszcześ żeby ta wojna wiedzioną była o interesa ogólne, narodowe, o idee wszech ludzkie — ale nie! kłótnia na zabój prowadzi się o nędzną jakąś ramotę, o plotkę miejską, o paskwile w które poczynamy się bawić... Przegląd Tygodniowy rąbie na prawo i lewo nie patrząc kogo trafi i za co, byle rąbać. — Mucha dogryza przeglądowi, kronikarz Kłosów w pustem jak stodoła na wiosnę Pokłosiu, napada na wszystkich co nie należą do uniżonych służek wydawcy Kłosów. — Kurjer Warszawski poluje na wielki organ literacki a nawet cała jego redakcja w tej myśli zapuściła długie artystyczne włosy, — Kolce kłują kogo mogą i t. d... W tym chaosie sprzecznych interesów i interesików niczego dopatrzyć nie możesz. Szkoda tam ręki przykładać, szkoda palce maczać w tym kale... więc stoisz obojętny, po za tem wszystkiem, bo nie będzie z niemi rady...

„W waśni bracia się rozdarła,
I jak wróg mi życie zbrzydło,
Jak w więzieniu pierś zamarła
I sokole zwisło skrzydło“.....

O! horror! horror! horror! Jeśli wyjdzie książka jaka napisana nie przez członka arcybractwa wzajemnéj admiracji, to ją zniszczą, zgniotą, zabiją, ogłoszą za nędzę, za lichotę...... Ale za to, gdy z nich który się odezwie i ukaże swe jałowe i przeżute już nieraz myśli w żółtej lub zielonej okładce (częściéj zielonéj, bo lubią ten kolor) to mu sypią pochwałami jak z rogu obfitości, ogłaszają gieniuszem tak, że tylko stawiać mu posągi na... saskim placu, obok Mikołajowskiej kolumny......

Darujcie, ale tak wielka boleść ściska mi serce patrząc na te zachody nędzne, na te starcia bezcelowe, obok drgającego w trumnie trupa Ojczyzny krwawej, że chciałbym pióro umoczyć w żółci, w jadzie i zgnieść ich wszystkich...... Wiem, że się to na nic nie zda, że

„. . . słowa te nie zadrżą długo
W sercu gdzie nie trwa myśl nawet godziny,
Mówię, bom smutny i sam pełen winy.“

Z nowości literackich ukazał się w przekładzie Sadowskiego studenta tutejszego uniwersytetu Sen Scypiona (Somnium Scipionis) Cicerona, opatrzony licznemi komentarzami i dobrze napisanym poglądem na filozofią starożytną. — Sam przekład bardzo dobry, napisany jędrnym zygmuntowskim językiem, znamionującym że młody tłomacz robił studja na złotą epoką naszej literatury. Wreszcie nie dojrzysz nic nowego na półkach księgarskich. Wyszedł miasto trzeciego zeszytu Kolców, o które jakieś zaszły zatargi z cenzurą, nowy poszyt p. t. Ostroga, który już zapewne macie. Nie piszę wam nic o nim, dziwię się tylko zkąd u was w Tygodniku znalazły się kalumnie rzucone na Kolce jakoby graniczyły z paszkwilem. Nie bronię ja ich wcale, ale od paszkwilu leżą one daleko prędzej, taki tytuł należy się Echom Warszawskim w Przeglądzie Tygodniowym[1]). W każdym razie Kolce są rzetelnie dowcipne o co u nas tak trudno dzisiej. Proszę was czyż można takie Kolce postawić obok Muchy, która w jednym z ostatnich swych numerów nazwała Aspisa tutejszego poetę, po prostu świ...ą. Jak wam się to podoba? I takie śmieci, mają się nazywać literaturą ... mają przewodniczyć narodowi na drodze światła i postępu?!! O czasy! czasy! czasy! Ludzie piszący, dają sobie przezwiska jak banda ostatnich pomyj społecznych w karczmie lub szynkowni. Pan Aspis nazwał redakcją Muchy pluskwą — a ona mu się odwdzięczyła stokrotnie.

Jakież to wszystko szkaradne, małe, obrzydliwe!... Lecz wolę już skończyć, bo mi żal krwawéj Warszawy, że muszę świętą jéj suknię odsłaniać, by wam ukazać robactwo plugawe co toczy jéj wnętrze.

Ś

Z ziemi Warmińskiéj, 15 maja.

Z powodu, że sprawa uroczystości Kopernikowskiéj, stoi dziś na porządku dziennym, wydobywanie na jaw wszelkich szegółów, wielkiego rodaka naszego dotyczących, i zaznajomienie z niemi szerszéj publiczności zdaje się na czasie tém więcéj, że — wyznajmy to — Niemcy bliżéj z naszym Kopernikiem się zapoznali, aniżeli my. — Pisując do Was z ziemi, którą Kopernik przez około 40 lat zamieszkiwał, więcéj może, niż ktokolwiek inny do zajmowania się w korespondencjach mych owemi szczegółami jestem zobowiązany.

W korespondencji méj umieszczonéj w numerze 9. Tygodnika. gdzie mówiłem o przedmiotach utrwalalających pamięć sławnego męża, częściowo już z obowiązku tego uiścić się starałem. Dziś pozwólcie mi skreślić kilka słów o zawodzie Kopernika lekarskim.

Ze względu na łaskawe czytelniczki, które podobno gniewają się na mnie, żem wzmiankowaną korespondencją zanadto naszpikował łaciną, uprzedzam, że tym razem wypycham łacinę z polskiego tekstu, umieszczając ją w suterenach, tak jednakowoż, że przedstawienie przedmiotu nic na tém nie straci. Tylko przy końcu jednego, czy dwóch pozwolę sobie wyjątków. Ale do rzeczy.

Mikołaj Kopernik rozpoczął swe studjum medyczne w r. 1501., będąc naówczas już kanonikiem katedry warmińskiéj w Frauenburgu. Twierdzi wprawdzie Mikołaj Komnenus Papadopoli, autor historji uniwersytetu Padwańskiego, w którym to właśnie zakładzie Kopernik poświęcał się studjum medycyny, że zyskał on stopień doktora w umiejętności téj już w r. 1499.[2]) Ale Papadopoli, czerpiąc wiadomość tę z dwóch źródeł, z albumu Polaków i z akt fakulteta medycznego, których to źródeł dziś już odnaleść nie można, za mało posiadał zmysłu krytycznego, tak że na wiadomościach jego bardzo często polegać nie można. A tak właśnie ma się rzecz w obecnym przypadku; bo Papa-

---

[1]) Na zdanie w téj mierze z sz. korespondentem nie godzimy się. P. R.

[2]) Nicol. Comn. Papadopoli Historia Gymnasii Patavini. Venetiis 1728, t. II. p. 195: „Nicolaum Copernicum Patavii Philosophiae ac Medicinae operam dedisse per annos quatuor constat ex Polonorum albis, ubi discipulus dicitur Nicolai Passarae e Genua et Nicolai Verniae Theatini, a quo ad utriusque scientiae lauream provectum asserunt acta collegii Medicorum ad a. 1499.“

dopoli na podstawie tych samych akt fakultetu medycznego twierdzi zarazem, że Kopernik promowował i w wydziale filozoficznym, gdy tymczasem akta jednego fakultetu z promocją w drugim nic nie mają wspólnego.

Natomiast znajduje się w aktach kapituły warmińskiéj dokument z dnia 27 lipca 1501., z którego okazuje się, że Kopernik w tym dopiero roku studjum swe medyczne rozpoczął. Jestto dokument, w którym kapituła zwalnia naszego Mikołaja (i brata jego Andrzeja, również kanonika katedry warmińskiéj) na dwa lata od obowiązku rezydencji; ponieważ, jak dokument ten wyraźnie głosi, „Mikołaj przyrzekł poświęcić się medycynie, aby mieć kiedyś pieczę o zdrowie przewiel. Arcypasterza naszego i być także panom z kapituły zbawiennym lekarzem.“[1])

Uzyskawszy pozwolenie oddalenia się na dwa laty, pospieszył Kopernik do Padwy, która wówczas za najlepszą uchodziła szkołę medyczną. Obrał on Padwę i z téj jeszcze przyczyny, że pobyt wśród osiedlających się tu po upadku Konstantynopola uczonych ze wschodu podawał mu sposobność do nauczenia się języka greckiego.[2]) Pod okiem Marka Antoniego della Torre, Aleksandra Benedetti, Mikołaja Vernia i Mikołaja Passara kształcił się Kopernik w umiejętności lekarskiéj z wielkiém zamiłowaniem i z odpowiednim wysokiemu, wszechstronnemu uzdolnieniu skutkiem.

Po czteroletnim w Padwie pobycie [3]), uzyskawszy stopień doktora medycyny, powrócił Kopernik do Frauenburga, i tu zaraz znalazł, jakkolwiek smutną, sposobność zastósowania nabytych w Padwie wiadomości lekarskich. Wuj jego Łukasz Watzelrode, biskup warmiński, mąż podeszły w wieku, ciągle w chorowitym pozostawał stanie. Dla niego więc udał się Kopernik wkrótce po powrocie swym z Padwy do Licberka (Heilsberg), gdzie biskupi ówcześni rezydowali, i nie opuszczał go na czas dłuższy, mając nietylko pieczę o zdrowie jego, lecz dopomagając mu zarazem radą i czynem w załatwianiu spraw z urzędem biskupiem zostających w związku i w urzeczywistnianiu szlachetnych jego zamiarów. Przedewszystkiem szczerze zajmował się Kopernik wykonaniem planu biskupa względem założenia w Elblągu uniwersytetu, który to plan jednakowoż z przyczyn ani od biskupa, ani od siostrzeńca jego niezależnych nie przyszedł do skutku.

W podróżach biskupa do Piotrkowa i Krakowa towarzyszył mu Kopernik, korzystając z sposobności téj do odnowienia stosunków z dawniejszymi współuczniami Krakowskimi i do wspólnych obserwacji astronomicznych w Krakowie.[1])

Pomimo szczerego przywiązania i tak całkowitego oddania się na usługi wuja nie było Mikołajowi dozwolonem, ratować go w ostatniéj potrzebie. Biskup Łukasz, wracając z podróży raz jeszcze do Krakowa bez towarzystwa Kopernika późniéj przedsięwziętéj, umarł prawie nagle w Toruniu 30 marca 1512.

Po śmierci biskupa przeniósł się Kopernik na nowo do Frauenburga, i tu znów smutniejszą jeszcze od poprzedniéj miał sposobność doświadczania swéj wiedzy lekarskiéj. Brat jego Andrzej, o którym powyżéj nawiasowo już wspomnieliśmy, powrócił był z drugiéj podróży swéj do Włoch dotknięty straszną wówczas chorobą... trądem. Mikołaj doświadczał, w całem znaczeniu tego wyrazu, sztuki swéj na ukochanym bracie; ale jak lekarze, konsultowani przez Andrzeja już w Włoszech i w podróży z kraju tego, lekarstwa na nię nie mieli, tak i doświadczania Mikołaja okazały się bezskutecznemi.

Kopernik był również lekarzem trzech z kolei następców wuja swego biskupa Łukasza Watzelrode. Pierwszego z nich, biskupa Fabjana Tettingera, pielęgnował on w drugiéj jego chorobie, która zakończyła się amputacją nogi.[2]) — Następca Tettingera, Maurycy Ferber, ciągle prawie złożony chorobą zasięgał rady lekarskiéj Kopernika przez ośm lat i w listach swych chwali gorliwość swego lekarza.[3]) — Biskup Dantyszek, zaledwie wstąpiwszy na tron biskupi, ciężką nawiedziony został chorobą, z któréj go jednakowoż troskliwość Kopernika tak dalece wyprowadziła, iż już w miesiąc potem mógł przedsięwziąć podróż do Krakowa.

Jako honorarjum za sprawowanie funkcji nadwornego lekarza biskupów warmińskich wyznaczyła mu kapituła „15 grzywien dobréj monety“, mających rocznie mu wypłacać się, prócz dochodów z kanonikatu.[4])

Oprócz biskupów warmińskich miał Kopernik i poza granicami Warmji dostojnych pacjentów. Przyjaciel jego Tidemann Giese, biskup chełmiński, przyzywał skutecznie pomocy jego, a na wezwanie księcia Albrechta podjął Kopernik w r. 1541., a więc jako starzec 68 letni, uciążliwą podróż do zapadłego na zdrowiu starosty Jerzego Kunheima w Topiałach (Tapiau).

[1]) Acta Capituli Varm. f. 1b: „Anno MCCCCCI. In die Panthaleonis martyris Comparuerunt coram Capitulo Domini Canonici Nicolaus et Andreas Coppernick fratres: et desideravit ille ulteriorem studendi terminum, videlicet ad biennium, qui iam tres annos ex licentia Capituli peregit in studio. Alter Andreas pecijt favorem studium suum incipiendi. Et iuxta tenorem Statutorum continuandi: quodque utrique darentur studentibus dari consueta. Post maturam deliberationem Capitulum uotis utriusque condescendit, maxime: ut Nicolaus medicinis studere promisit Consulturus olim Antistiti nostro Rev. ac etiam dominis de capitulo medicus salutaris, et Andreas pro litteris capescendis habilis videbatur.“

[2]) Kopernik dotąd ani w Krakowie (zob. Wiszniewski, hist. liter. t. VI. str. 190), ani w Bononji, gdzie brakowało mu do tego czasu, języka greckiego nie poznał; w Rzymie zaś zbyt krótko przebywał, aby był mógł nauczyć się go.

[3]) Wspomnieliśmy powyżéj, że Kopernik na dwa tylko lata uzyskał od kapituły zwolnienie od obowiązku rezydencji; że pomimo to cztery lata pozostał w Padwie, przypisać należy okoliczności, że prócz medycyny oddawał się Kopernik studjom języka greckiego, w którym do wielkiéj doszedł doskonałości; nadto sam już kurs medyczny trwał w Padwie trzy lata. Rozumie się, że ta prolongacja oddalenia nastąpiła z wiedzą i wolą kapituły.

[1]) Tu wydał też Kopernik u Jana Hallera łacińskie tłumaczenie swe nieznanego dotąd a nabytego w Padwie greckiego manuskryptu Listów Teofilakta, który żył na końcu szóstego i na początku siódmego wieku po Chrystusie.

[2]) Niezawodnie sam Kopernik wykonał operacją tę. Możeby to niejednemu zdawało się dziwną, że Kopernik jako kanonik oddawał się w ogóle praktyce lekarskiéj, co duchownym prawem kanoniczném jest zakazane, a szczegółowo, że wykonał tę operacją, która przecież wedle tegoż prawa stanowiłaby tak zwaną irregularitas ex defecta lenitatis. Dla tego nadmienić tu wypada, że Kopernik, jak w owych czasach większa część kanoników w ogóle, a w szczególe i warmińskich, nie miał wyższych święceń.

[3]) Z listu do Wojciecha Kijewskiego, biskupa krakowskiego: „Est in hunc diem dominus D. Nicolaus Coppernic valetudinem nostram adversam sedulo medica arte curans.“ List ten znajduje się w biskup. archiw. w Frauenburgu A. I. fol. 312.

[4]) Acta Cap Varm. f. 13a: „Anno quo s. (1507.) septima Januarii Dominus Nicolaus Coppernig Confrater noster servitio Reverendissimi Domini nostri mancipatus, obtinuit ex singulari favore Capituli, ultra corpus praebendae suae marcas 15 bonae monetae ipsi annuatim assignandas, donec famulatui Episcopi renunciaverit; haec gracia ei favorose concessa, potissimum cum Artem medicinae callet, convalescentiae Reverendissimae dignitatis suae opera et medela suis mature consulat.“

Tak więc Kopernik, osiadłszy w Frauenburgu, obok studjów astronomicznych, do których przytykająca do kurji jego wieża, jakoby umyślnie do obserwacji astronomicznych zbudowana, sama już zwabiała, nie zaniedbywał i medycyny; a nawet prócz wymienionych powyżéj dostojnych pacjentów miał Kopernik rozległą praktykę,[1]) szczególniéj pomiędzy ubóstwem[2]), „które go też jako dobrego ducha jakiego uwielbiało."[3])

Jakkolwiek Kopernika wiadomości lekarskie były tego rodzaju, że śmiało mógł zmierzyć się z niejedną powagą ówczesną, to jednakowoż sumienność jego w trudniejszych przypadkach nie pozwala mu działać samodzielnie.[4]) Wolał on czy ustnie, czy piśmiennie radzić się innych jeszcze lekarzy, lub też pacjentów swych do nich odsyłać, niż nieostrożnością, lekkomyślnością lub mniemaną niewiadomością zaszkodzić pacjentowi i obciążyć swe sumienie. I tak pomiędzy lekarzami, których do osobistéj przywoływał narady, znajdujemy nazwiska Wawrzyńca Wilde, nadwornego lekarza księcia Albrechta, i gdańskiego lekarza Treslera; z innych lekarzy, z którymi piśmiennie się komunikował lub pacjentom komunikować się kazał, wymienić należy dra. Jana Benedykta Solfę, nadwornego lekarza Zygmunta I., z Krakowa.

Z lekarskich przepisów Mikołaja Kopernika odnaleziono jedyny, nader ciekawy recept, spisany przez niego własnoręcznie na okładce egzemplarza geometrji Euklidesa, który wraz z wielu innemi przedmiotami archiwów warmińskich w Frauenburgu dostał się w czasie wojen szwedzkich w XVII stuleciu do Upsali. Uczony Prowe, który przed kilkunastu laty zwiedzał archiwa i biblioteki szwedzkie, umieścił w wydanym roku 1853 dziele swym „Mittheilungen aus schwedischen Archiven und Bibliotheken" litografowaną podobiznę receptu tego, a Ks. Hipler, regens seminarjum duchownego w Brunsberdze, odczytał ją z pomocą pewnego lekarza. Recept ten podajemy w przypisku; może który z waszych lekarzy przepolszczy go i wytłumaczy nam.[1])

Prócz tego istnieje jeszcze złożony w archiwum biskupiém w Frauenburgu rękopism, zawierający przepisy sanitarne na każdy miesiąc w roku, pod napisem: „Regimen sanitatis D. Copernici Canonici Varmiensis." Dla rozciągłości ich nie podajemy tu przepisów tych w całości; jako próbkę tylko przytaczamy przepisy na styczeń i grudzień.

„Januarius. Bibe de optimo vino, sanguinem non minuas, potionem non accipias, assato balneo utere, mane commede sed non nimium, nam superflua commestio febres generat. — Qui 1, 2, 5, 7, 8, 15. sanguinem minuerit, ipso anno morietur; si tonitru sonuerit, ventos validos, abundautiam frugum significat.

„December. Custodi cerebrum tuum a frigore, ut per totum annum sis sanus in capite, aperi cephalicam et balnea quantum vis, pyretum et zinziber manduca. — Qui 6, 7, 15. sanguinem minuerit, infra 40 dies morietur. Qui finiente Decembri aut infra diem 4. vulneratus fuerit aut potionem acceperit, in proximo morietur. Si tonitru sonuerit, copiam annorum, pacem et concordiam significat."

Takie i podobne w przypisywaném Kopernikowi regimen sanitatis znajdują się niedorzeczności. Dla tego téż słusznie dodaje Jan Katenbringk w swoich „Miscellanea Varmiensia," w których właśnie rękopism owego regimen jest zawarty:

„Vix credibile est hocce Regimen sanitatis a tam celeberrimo viro praescriptum esse, maxime propter auguria, quae superstitionem et inanes observationes sapere videntur; credo potius aliqua regimina sanitatis ipsius partus esse, ast plurima adscriptitia et fictitia."

W cytowanych powyżéj przepisach na styczeń i grudzień znajduje się wzmianka o grzmocie, co każe się domyślać, że owo regimen sanitatis zawdzięcza swój początek jakiemuś niedowarzeńcowi z któregokolwiek kraju południowego. Być może, że Kopernik przywiózł je z sobą jako curiosum. **J. Gl...**

---

[1]) Starowolski, de vita Copernici, p. 158: „In Medicina velut alter Aesculapius celebrabatur, etsi animo prorsus philosophico ostentationem apud vulgum nunquam affectaret."

[2]) Gassendi, Nicol. Copernici vita, Paryż 1654: ‚Sese deinde ad tria quaedam praesertim composuit. Unum, ut divinis, quam maxime posset, interesset officiis, alterum ut pro ea qua erat medicinae peritia nunquam deesset pauperibus, qui suam ipsius implorarent opem, tertium ut quidquid superesset temporis, impenderet studiis."

[3]) Tenże: „... qui (pauperes) ipsum idcirco ut numen quoddam venerarentur."

[4]) „Sed quidquid sit, fateor me errare posse, unum hominem, unum ingenium habentem et non advertentem vel ignorantem quae ab aliis perpenduntur utiliora", są słowa samego Kopernica; zob. Copernici opera. Varsaviae 1854, pag. 546.

[1]) R. Recipe:

Boli ar. unc. II.
Cinamoi unc. $^1/_2$.
Zeduarii drachm. II.
Torm̂etill. radic. an. drachm. II.
Sandolorum rubr. an. drachm. II.
Rasure eborum an. drachm. I.
Croci an. drachm. I.
Spodii an. scrupl. II
Arthuse acetose an. scrupl. II.
Corticis citri an. drachm. I.
Margarita Christi an. drachm. I.
(Przez samego Kopernika przekreślone).
Magontarum an. drachm. I.
Smaragdi an. scrupl. I.
Jacinct. rubri an. scrupl. I.
Zaphir an. scrupl. I.
Os de corde cervi drachm. I.
Cornu unicor. an. scrupl. I.
Corall. rubr. an. scrupl. I.
Auri } tribulati an. scrupl. I.
Argenti }
Suar. lbr. 5. ml. qi. sr. puluis.

Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach.

Obrazek sceniczny w 2 aktach

napisany przez

Józefa Narzymskiego.

(Dalszy ciąg.)

Scena VII.

Wodzicki (spostrzegłszy Lichockiego.) Aha! mamy ptaszka! To ty niegodziwcze, jesteś teraz prezydentem miasta?

Lichocki (gnąc się w pałąk.) Ja nim jestem Jaśnie Wielmożny Jenerale!... Filip Nereusz Lichocki urodz...

Wodzicki (przerywając.) Tyś wiedział, że nieprzyjaciel z miasta wychodzić będzie a nie dałeś mi znać...

Lichocki. To jest nieprzymierzając... Jaśnie Wielmożny panie... panie Jenerale...

Wodzicki. Mów wyraźnie!...

Lichocki. Jak... jak... Andzię kocham... nie... nie... nie wiedziałem... nie...

Wodzicki. Byłeś u Łukaszyna...

Lichocki (mocno zmięszany.) Przysłał po mnie kozaka, jeszcze wtedy byłem nawet nieprzymierzając pod pierzyną... kazał mi oddać panu Hepenowi żonę, którą od niego nieprzymierzając pożyczył...

Wodzicki. Co?... co?... co waść bredzisz?... żonę pożyczył?... więc Łukaszynowa jest tutaj?... gdzie?... On ma naszych jeńców!

Lichocki. Przepraszam..... bardzo przepraszam..... ja chciałem powiedzieć... nieprzymierzając, że Łukaszyn książkę niemiecką pożyczył od pana Hepena, a żona go wołała, żeby siadał na konia...

Wodzicki. Ale tyś mu wymarsz ułatwił! znam ja cię, czemuś się przed panem Kościuszką nie stawił?

Lichocki. Właśnie Jaśnie Wielmożny Jenerale, śpieszyłem... śpieszyłem, by z niewymowną, nieprzymierzając radością i respektem komplementować w imieniu miasta tego bohatera, z którym nieprzymierzając... tylko... tylko... porównać (p. s.) zapomniałem w pień!... (głośno) porównać można... tylko... starożytne... bogi... jak na ten przykład...

Wodzicki. No, dość! dość... mój ty panie prezydencie, znamy my się na farbowanych lisach!

Lichocki. O! jakże niesłusznie Jaśnie Wielmożny Pan...

Wodzicki. No, no, ze mną byłoby gorzéj, ale Naczelnik niechce tego dnia wielkiego, zasmucać karami... co było, zapomniane...

Kaspery (n. s.) Dzięki ci Matko Przenajświętsza!

Wytyżkiewicz (n. s.) Co było... zapomniane... dali Bóg nie rozumiem...

Wodzicki. Ale nadal służyć wiernie Ojczyźnie i Naczelnikowi, bo biada zdrajcom!...

Lichocki. O Jaśnie Wielmożny Jenerale!.... czy godzi się mieć dubium względem człowieka, co dla ojczyzny nieprzymierzając ostatnią kroplę krwi wysączyć gotów (n. s.) Może ta burza nie zwali człeka z prezydenckiego stołka!...

Kuczerowicz (po cichu). Nie udawaj Waść tak bezwstydnie!....

Wodzicki. No, no, zobaczymy my to!... a za nim Waść krew wysączysz, możesz na potrzeby Ojczyzny sakiewki cokolwiek ulżyć!..... Panie Biegański, siadaj pan i rozdaj księgę ofiar dobrowolnych (Do przytomnych) Panowie!... Do znanego patrjotyzmu Krakowian się odwołuję... niech każdy da co może na świętą wojnę....

Lichocki (kłaniając się.) Ostatniego szeląga oddam Jaśnie Wielmożny panie, ale nieprzymierzając człowiek goły... miasto małe... gaża Boże zmiłuj się!... (w ciągu tych słów Wodzicki nie uważając odchodzi i siada przy stole, przy którym usiadł także Biegański z księgą i piórem w ręku — Lichocki zgarbiony w ukłonie nie widzi tego i mówi daléj) Człowiek urzęduję uczciwie... wyderkafów nie bierze, to też ledwo na łyżkę strawy nieprzymierzając starczy...

Laszkiewicz (z boku) Nie obrażałbyś Wasze Pana Boga kłamstwami.... A dwie kamienice!...

Lichocki. Domeczki, panie Laszkiewicz, domeczki!... a czynszu nie płacą...

Kuczerewicz. A dworek na piaskach?...

Lichocki. Chałupka, Mości dobrodzieju!... chałupeczka (pokazując) nieprzymierzając, ot tycia!.... i wali się!....

Wohlman. A srebro i pieniądze u księdza Engielberta?...

Lichocki (przerażony.) Jakie?... co?... (n. s.) Zabiorą!...

Wohlman. Mój panie prezydencie! Nie udawajcie! Widząc sąsiedzi, jak kto siedzi!...

Lichocki. Hi... hi... hi... ale jak Andzię kocham nieprzymierzając to głupstwo!... parę łyżeczek srebrnych... i jeden dukat!... tak sobie oto!.... pod wianuszek dla córki.

(Rozmowa ta odbywa się na przodzie sceny, przez ten czas do stołu przychodzą z tłumu obecni i dyktują ofiary Biegańskiemu. Wohlman, Laszkiewicz i Kuczerowicz inni grupami rozmawiają— w tym czasie wchodzą z bocznych drzwi Scholastyka i Andzia— Feliks się do nich przybliża i rozmawia. — Scholastyka wpatruje się zdala w Biegańskiego)

Kranz (zbliżając się srogo.) Oj! gilotyny na prezydenta!... na latarnię albo szubienicę z nim!...

Lichocki (chwytając go za ręce.) Mospanie Kranz!.... com ja to Waćpanu zrobił, że mnie tak nieprzymierzając dekretujesz?..

Kranz. Aha!... teraźniejszy Magistrat kazał mi się jak chłopcu eksplikować z expensy policyjnéj.... Dam ja wam!...

Lichocki. Ale Mospanie Dobrodzieju!... Ulituj się, nie gub mnie! Nakoniec załatwić to można!... (bierze go za rękę i odprowadza na bok.)

Biegański (do stojącego przed stołem człowieka.) Nazwisko obywatela?...

Kędziora. Bartłomiéj Kędziora, Wielmożny kapitanie, szewiec z szewców... z Kleparza.

Biegański. Co ofiarujecie na Ojczyznę?

Kędziora. Ha!... na Ojczyznę toć trzeba wszyćko dać niby, tylko że to człek niebogaty...

Wodzicki. Każdy grosz jéj się przyda...

Kądziora. A no!... mam doma osiem par butów juchtowych... niech idą... Korale mojéj baby.. niech idą... Tu mam sześć tynfów... a w domu mam miedziaków z pół... to je zaraz przyniosę... a jak mi Szmul zaborguje, to jeszcze dodam dziesięć tynfów (smutnie) Mało to, ale jak pragnę zbawienia duszy nie mam więcéj!....

Wodzicki (wyciągając do niego rękę.) Ale to dosyć, panie Kędziora!... dosyć!... żebyż to tak wszyscy kochali Ojczyznę!...

Kędziora (kłaniając się.) Już to Wielmożny jenerale, taka natura szewców Krakowskich... za Polską to choćby ostatniego tynfa.... a dyć kiedy się daje krew, toćby chyba jaki heretyk, skąpił dobytku... Tylko że bieda!.... (odchodzi — zbliża się inny.)

Lichocki (puściwszy Kranza d. s.) No! oddycham nieprzymierzając!... Człowiek jakoś tych lwów drapieżnych ułagodził... I prezydencki stołek został nieprzymierzając! (patrząc ku Andzi rozmawiającéj z Feliksem) Aha! a ten robikłódka znów przy dziewczynie jak klucz przy zamku nieprzymierzając!.... A bodaj cię!...: (kłaniając się na wszystkie strony, przeciska się ku rozmawiającéj parze.)

Biegański (wywołując.) Radca Kaspery! co ofiaruje?.....

Kaspery (z tłumu.) Trochę bielizny.

Biegański. Andrzéj Ślaski?

Wohlman (z tłumu.) W imieniu pana Ślaskiego: sześciu kawalerji z bronią i leninngiem miesięcznym, płótna łokci 1000 i mąki korcy 35.

Głosy. Vivat!... Ślaski!... vivat!...

Biegański. Radca miejski Wytyżkiewicz?

Wytyżkiewicz. Ja..... nibyto..... ten tego..... Ołowiu krążek.

Biegański. Cech piekarski krakowski.... (cisza) Cech piekarski krakowski... co ofiaruję?....

Głos. Bęben!... jeden!.... (szmer)

Głosy. A to co?.... a to co?...

Wodzicki. Cicho Mości panowie!... to ofiara dobrowolna!... Więc cech piekarski ofiaruje dla ojczyzny...

Głos. Bęben!...

Biegański. Zapisałem.... zdaje mi się, że już wszyscy obecni dary swe objawili.

Kranz. Za pozwoleniem!.... Ten, co powinień być prymusem na dobréj drodze, został się na ostatek!... Nasz prezydent nic nie dał....

Głosy. Prawda!... prawda... prezydent nie dał...

Lichocki (który rozłączywszy kochanków, żywo mówił z Andzią) Ale jestem... jestem Mospanowie dobrodzieje! nieprzymierzając lecę... ostatni szelążek ofiaruję... jam dawno chciał zgłosić się... ale tłok był wielki...

Głosy. Ho!... ho!... jak łże!

Biegański. Cóż prezydent ofiaruje?

Lichocki. Mój Boże!... nieprzymierzając wszystko co mam...

Biegański. A mianowicie?

Lichocki (n. s.) Mało źle... dużo jeszcze gorzéj (głośno) Dla kochanéj ojczyzny wszystko... Najprzód: Cztery stare chustki na flejtuszki...

Głosy. Co?... co?... to kpiny!... żarty!...

Lichocki (przerażony): Ależ Mospanowie!... poczekajcie! to początek.

Biegański. Więc co więcéj?

Lichocki. Szablę z bardzo dobréj stali... fuzję z lufą gwintowaną... bez zamku... parę pistoletów... Worków dwanaście, nie nowych... ale dobrych... dwa żupany... i... i... (z wysileniem) dwa... dwa... dukaty!...

Biegański. Więcéj nic?...

Lichocki. Ja biedny nieprzymierzając jak...

Głosy. A skąpiec!... a pfe!... a brzydko!...

Wodzicki. Cicho!... Mości panowie!... (szmer i oburzenie w tłumie).

Andzia (przedziera się, przystępuje do stołu — głosem gorączkowym): Proszę... proszę... panów... Mój papa... papa mój...

Lichocki (n. s.) A ona czego chce?...

Andzia. Mój papa nie śmiał...

Wodzicki. Mów śmiało moje dziecię, kto jesteś...

Lichocki. Moja córka nieprzymierzając do usług pana jenerała.

Andzia. Mój papa... nie śmiał sam wszystkiego ofiarować... co zamierzał...

Wodzicki. Nie śmiał?...

Andzia (prędko) I mnie to kazał zrobić... Dajemy więc te kolczyki... te pierścionki (zdejmuje wymienione przedmioty ze siebie, mówiąc to) te korale... a zaraz przyniosę trzy srebrne tace... cztery sztuki płótna.

Lichocki (przestępując z nogi na nogę, z cicha): Andziu... Andziu... córko moja!... Nieprzymierzając oszalała!

Andzia. I dwadzieścia dwa dukaty...

Lichocki (n. s.) Jezus Marja! wszystko, com jéj dał na dom!...

Andzia. Wszystko to w imieniu papy... a potém papa da więcéj... jeszcze.

Wodzicki. Dobre moje dziecko (głośno) podziękuj ojcu za jego hojność... (do Lichockiego) Ojczyzna Waści dziękuje...

Lichocki. Oh!... nieprzymierzając...

Wodzicki (z ironją) Za to że masz taką córkę!... za to tylko!...

Głosy (z tłumu) Vivat! prezydentówna! vivat!...

Lichocki (n. s.) Bodajeś się była zakrztusiła!...

Scholastyka (zbliżając się do stołu) Niechże i ja na cel wspólny moją ofiarę złożę...

Biegański. Dobrze pani!...

Scholastyka. Ofiaruję pierścionek pamiątkowy... parę wełnianych zarękawków... i cztery tomy romansu pani Rodeliffr... (śmiech w tłumie, głosy): — „A!... to się wysadziła!...“

Scholastyka. Ale oprawne w skórkę...

Wodzicki. Wszystko, co z serca, ojczyzna przyjmuje...

(wchodzi Goljan.)

Goljan. Pan Kościuszko idzie do ratusza...

Wodzicki (szybko wstając) Panowie! chodźmy na przeciwko niego!... Niech żyje nasz wódz ukochany!...

Głosy. Vivat Kościuszko!... vivat Naczelnik kochany!... (podrzucają czapki, ściskają się i wychodzą za Wodzickim — Andzia wymyka się na prawo.)

Scena VIII.

Lichocki — Scholastyka.

Lichocki. Czego ci ludzie wrzeszczą?... czego się tak radują jak nogi w pokrzywach!... poszaleli nieprzymierzając!... Myślałby kto, że jaki magnat przyjechał... a to pan Kościuszko!... Wielka persona!... nieprzymierzając nawet burmistrzem nie był... Ale się człowiek wytarmosił jakoś!... prezydentem byłem... prezydentem jestem!... i Filip Nereusz Lichocki na prezydenckim stołku umrze!...

Scholastyka (która usiadłszy na kanapie, wachluje się szybko): Panie Filipie!... co to będzie?...

Lichocki. A! pani siostra tu?... Co téj smarkatéj nieprzymierzając do głowy przyszło?...

Scholastyka. Albo ja wiem!... ach!...

Lichocki. Dam ja jéj!... toć ona mnie zrujnowała!...

Scholastyka. Postąpiła przeciw dystynkcji panieńskiéj!... ach!... ach!...

Lichocki. A pani siostra czego tak jęczy?...

Scholastyka. Humory moje!... humory!... panie bracie!...

Lichocki. At!... głupstwo Waśćka gadasz i basta!... wyglądasz jak tuz!...

Scholastyka. To też to właśnie nieszczęście moje!... wzburzenie humorów!... tyle wrażeń!...

Lichocki (wzruszając ramionami) At!... roi się pani siostrze! roi!... lepiéj oto objad każ dawać...

Scholastyka. Obiad?... jaki obiad?... Małgosia nie przyniosła mięsa...

Lichocki. A! do kaduka!...

Scholastyka. Panie bracie nie klnij... to mi humory burzy!...

Lichocki. A co mnie tam do twoich humorów... No, więc obiadu nie będzie?...

Scholastyka. A pewno nie!... (n. s.) Oh! gorąco mi!... (wachluje się i pada na kanapę).

Lichocki. Niema objadu!... ślicznie!... a więc głód!... (patetycznie) Oto skutki insurekcji!... (zasłona spada)

Koniec aktu Igo.

Skrzynka do listów.

P. Józ... Dobr... w Krakowie: Oczekujemy.

P. Stefanowi R... w Trenchinie: Odebraliśmy nadesłane nam 2 złr. — O powieść p. n. „Ojczym“ porozumiemy się z dawną redakcją Mrówki.

P. Czesławowi Mazepie w Krakowie: Oznaczyć terminu ostatecznego na razie nie możemy. Musimy pierwéj wywiązać się z przyrzeczeń danych poprzednio innym autorom.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.